

KAMENA

MIESIĘCZNIK
LITERACKI

ROK VI

NR **6**

ROK VI **KAMENA** NR 6 (56)
MIESIĘCZNIK LITERACKI
LUTY 1939 R.

TREŚĆ NUMERU SZÓSTEGO

KAZIMIERZ A. JAWORSKI	Na śmierć Piusa XI	str.	93
ZBIGNIEW BIENKOWSKI	Ecriture automatique	„	94
JAN BRZĘKOWSKI	Narodziny	— — „	97
IGNACY FIK	Tutaj	— — „	98
STEFAN NAPIERSKI	Pokuta	— — „	98
JAN NEP. MILLER	Kosmos	— — „	100
MIECZYŚLAW IASTRUN	Obietnica	— — „	100
ADAM SZCZERBOWSKI	Róże na śniegu	— „	101
STANISŁAW BĄKOWSKI	Skąd lepiej słychać Ciebie		101
WACŁAW IWANIUK	Do przyjaciela	— „	102
MIECZYŚLAW LURCZYŃSKI	Linoskok	— — „	103
MARIAN CZUCHNOWSKI	W Zapadni Małej	— „	104
WIKTOR MATYSZCZUK	O poszanowanie ludzkiej godności	„	107
PHILIPPE SOUPAULT	W kierunku nocy	— „	109
PAUL ELUARD	Pocałunek	— — „	109
ANTE CETTINEO	Wysłutone okręty	— „	110
	Bez ciebie	— — „	110
	Ostatnia serenada	„	110
	Kronika słowiańska	— — „	111
	Noty	— — — — „	111

Wkładka linorytowa ZBNONA WAŚNIEWSKIEGO

Redaktor: Kazimierz Andrzej Jaworski, Chełm Lub. Reformacka 43.

Przyjmuje w poniedziałki od 15 do 16-ej.

Wydawca: Zenon Waśniewski.

Administracja: Chełm Lub., Reformacka 43

Redakcja i administracja w lipcu i sierpniu nieczynne.

Prenumerata roczna (10 numerów) 5 zł., półroczna (5 numerów) 2 zł. 50 gr.
Należność uiszcza się zwykłym przekazem lub przekazem rozrachunkowym. Numer okazowy „Kamena” wysyłamy tylko po uprzednim nadesłaniu 60 gr. przekazem lub w znaczkach pocztowych.

CENA NUMERU POJEDYŃCZEGO 60 gr.

Tłoczono w drukarni „Kultura” Chełm Lub. 10.



K A M E N A

MIESIĘCZNIK LITERACKI

ROK VI

LUTY 1939 R.

NR 6 (56)

NA ŚMIERĆ PIUSA XI

Pod dachem z gwiazd migotu, na wążlutkiej płasni,
wsluchany w wichru chorał, w serca swego stuk,
tej nocy w gór obliczu ksiądz: Ratti nie zaśnie,
tej nocy najwymowniej objawi się Bóg.

Świat szczytów ośnieżonych tchnie pięknem i grozą,
wichura dech zapiera, tnie lodowy bicz.
Pod księżycem dwurożnym, w ścianach Monte Rosa
w sercu księdza rozplonie nieugasły znicz.

I odtąd tylko w górę krok go mocny porwie,
aż po latach wyniesie na najwyższą wyż,
skąd biały jak śnieg górski on urbi et orbi
ręką twardą nakreśli błogosławieństw krzyż.

Tym krzyżem będzie gromił „krzyż, co nie jest krzyżem“,
i wszystko, co jest niskie, z zachodu po wschód,
i da ostoję pewną w kłamstw i zbrodni wirze,
i wiarę w człowieczeństwo, i miłości głód.

I gótów będzie Panu poświęcić w ofierze
swe życie „i tak długie“, ten „bezcenny dar“,
gdy w pysze świat podpalić zechcą „żli pasterze“,
niepomni grzechu wojny i wielkości kar.

Aż w pewną noc lutową czy też ranek bladey
z drżących ust słowo: „Pace“ zdmuchnie śmierci dech.

Wielki Starzec nie żyje! Lecz my w jego ślady
kroczy my górą i depczmy nienawiści grzech!

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

Ingres miał słabość do muzyki. Więcej nawet, uważał siebie wbrew sceptycyzmowi przyjaciół za wybitnego skrzypka. Może miał część racji, gdyż i ta namiętność przysporzyła mu sporo popularności i nie ma chyba dzisiaj (wyjątki potwierdzają regułę) żadnego artysty (a cóż dopiero mówić o politykach), który by ośmielony przykładem nie sięgnął od czasu do czasu po „violon d'Ingres“.

Bywa jednak i tak, że słuchacze rekrutując się przeważnie ze sfer głuchoniemych z przyzwyczajenia usiłują ruch grającego odczytywać według alfabetu „migi“ (na—), a wtedy nie tylko skrzypiec, lecz nawet orkiestra Symfonicznej „słuchają jako violon d'Ingres“.

To ostatnie to casus André Breton.

Nadrealizm w wydaniu popularnym ma zwykle w podtytule dopisek: *écriture automatique*. Przeczytawszy tytuł, podtytuł i spis rzeczy każdy nieuprzedzony zostaje nadrealistą, a nieufny wrzuca książkę bez skrupułów do pieca. Należałoby odstąpić od skomplikowanych podziałów na faszystów, awangardzistów i anty—, a zastąpić to wszystko prostym i zrozumiałym podziałem na nadrealistów i nienadrealistów. Wszystko tłumaczyłoby się łatwo: granice między ludźmi oparte są na nieporozumieniu.

Los *écriture automatique* przypomina los teorii względności. Jeszcze Cwojdziański wystawi ją na scenie a trafi pod strzechy na pewno.

Écriture automatique wyrwaną z kontekstu i przetłumaczoną na „pisanie automatyczne“ pojmujemy zbyt często w odniesieniu do... pisania. Rozumiemy ją jako stan (a nie—czynność) opancerzony dostatecznie klauzulami psychicznymi: każdy akt woli sprzeciwiłby się rzekomo czystości treści, którą ona ma wyrazić.—I tak dostatecznie pracujemy w podświadomości. W nas c z y n i ą się sprawy, my bądźmy „sejsmografem“. Bądźmy w transie! —

Taka interpretacja głównego założenia nadrealizmu prowadzi do krytykowanej łatwości. Fakt, że mało płacimy za to, co ma być nie tylko literaturą lecz odsłonięciem tajemnicy a niejednokrotnie i przepowiednią zarazem, winien w nas wzbudzić podejrzenie o słuszności zajętogo stanowiska (bo nie można przecieź nieproporcjonalności między ceną i towarem tłumaczyć tym, że psychika ludzka nie ma ustroju kapitalistycznego).

Écriture automatique nie jest celem samym w sobie. Jest środkiem, narzędziem w pracy. Ambicją nadrealizmu jest,

jak wiadomo, wyznaczenie „takiego punktu w umyśle, z którego życie i śmierć, rzeczywiste i wyimaginowane, przeszłość i przyszłość, wyrażalne i niewyrażalne, wyż i niż przestają być sprzecznościami”. Istnieje związek między zamierzeniem i pracą mającą to zamierzenie zrealizować. Ambicja nadrealizmu jest ogromna—czyżby droga prowadząca do jej realizacji miała być mechanicznymi schodami?

Breton w pierwszym manifestie określił nadrealizm jako „czysty automatyzm psychiczny, przez który należy usiłować wyrazić ustnie, pisemnie bądź jakimkolwiek innym sposobem rzeczywiste funkcjonowanie myśli. Tworzenie pod dyktandem myśli przy jednoczesnym wyrzuceniu się jakiegokolwiek kontroli rozumu i troski o zgodność z estetyką lub moralnością”. Definicja ta będzie jasna całkowicie tylko wtedy, gdy przeciwstawienie myśl—rozum dopełnimy konkretnie na terenie bliższym, terenie wyrażania; wtedy kiedy myśli odpowiadać będzie mowa, a rozumowi język praktyczny. „Mowa została dana człowiekowi po to, by zrobić z niej użytek nadrealistyczny”.

Język praktyczny ma wartość obiegową tylko, komunikatywną, podczas gdy mowa istnieje tylko w stanie czystym. Mowa nie może być stosowana (w sensie podobnym jak sztuka stosowana). Mówiąc właśnie nie mówimy: używamy języka tylko. Mowa nie znajduje się w zasięgu narządów fizjologicznych. Mowa ucicha na pierwszym stopniu świadomości.

W wydanej niedawno książeczce p. t.: „Nadrealizm i psychologia” Jean Cazaux omawiając z psychologicznego punktu widzenia *écriture automatique* na wstępie zastrzega się, że „automatyzm nie odnosi się do pisania, lecz do stanu poprzedzającego je. To znaczy, aby zrozumieć znaczenie *écriture automatique*, trzeba ją umieścić w ramach mowy wewnętrznej” Uwaga ta ma pierwszorzędne znaczenie. Jeśli Breton swoim spodziewanym adeptom radzi: „zaopatrzwszy się w przyrządy do pisania usadówcie się w miejscu możliwie sprzyjającym skupieniu umysłu na sobie samym. Wejdźcie w stan najbierniejszy, na jaki się możecie zdobyć. Abstrahujcie od zdolności, talentów swoich i cudzych. Powiedzcie sobie, że literatura jest jedną z najsmutniejszych dróg prowadzących do wszystkiego. Piszcie szybko bez planu powziętego z góry, dość szybko, by nie zatrzymać się i nie pokusić o odczytanie napisanego”—to przez przeoczenie lub niechęć zapomniał dodać, by przedtem przecięli sobie tyły na rękach, a potem wypili szklankę zimnej wody.

Na planie mowy (mowy wewnętrznej) możemy znaleźć się tylko wtedy, gdy zniknie wszelki przymus pobudzający do oporu

lub rozumnego współdziałania; gdy odwróciwszy oczy na drugą stronę krwi zaczniemy tworzyć obrazy, a nie przyjmować. Widok wewnętrzny jest wtedy pismem obrazkowym, syntetyzującym myśl. Nie ma już miejsca na niewyraźne, a tajemnicze, jeśli istnieje, to jako reszta rozumnego kiedy indziej rozumianego.

Ten stan ni snu ni jawy, stan czystego myślenia Breton nazwał nadrzeczywistością. Program jego i znaczenie *écriture automatique* jest niczym innym, jak możliwie najwierniejszym, odczytaniem i odtworzeniem tych obrazów myśli.

Écriture automatique ma więc odtwarzać możliwie najdokładniej obrazy wewnętrzne, ma mowę wewnętrzną uzewnętrzniać w postaci obrazów wtórnych (w stosunku do poprzednich), obrazów nadrealistycznych. „Nie ukrywam tego, że dla mnie najważniejszą cechą wspólną (obrazów nadrealistycznych) jest ta, która oddaje najwyższy stopień dowolności; ta, która najdłużej opiera się przełożeniu na język praktyczny.”—Wystarczy chyba na zabicie mitu łatwości.

Jest rzeczą zrozumiałą (i Breton nie miał co do tego złudzeń), że zastosowanie *écriture automatique* dało pole do wielorakich nadużyć i mistyfikacji. Nie o to więc idzie, nie o obronę „tekstów nadrealistycznych, lecz o sprowadzenie samego pojęcia z terenu ułatwionego i przywrócenie mu wagi, jaką istotnie posiada.

Cazaux nie doszukując się filiacji (przeciwnie) zestawił marginesowo teorię Bretona z „Ulysesem” Joyce’a. Dzieło Joyce’a jest artystycznym wysiłkiem oddania naturalnego toku mowy wewnętrznej. Już dawno Eluard odgraniczył wyraźnie sny, „teksty nadrealistyczne” i poematy. Jak „tekst” ma być możliwie wiernym echem mowy wewnętrznej, tak poemat — wizją zorganizowaną, wypracowującą środkami artystycznymi obrazy myśli. Stopień podobieństwa ma decydować o prawdzie lub fałszu: automatyczna bliskość prawdy.—To właśnie jest dla nas najważniejsze. Jeśli *écriture automatique* ma być narzędziem poetów, to należy ją rozumieć jako narzędzie w pracy nad stworzeniem nowej rzeczywistości.

Praktyka nadrealistyczna wykazała, na jakie trudności natykamy chcąc zmusić się do mówienia. Notowanie snów, stanów mediumicznych możemy dziś uznać za ćwiczenia stylistyczne innego wymiaru. Chodziło o podpatrzenie mechanizmu, by móc go potem wytwarzać seryjnie. A pierwszy sukces, jaki by on był, osłabia samokrytycyzm.

Przyrzędy wytwarzały istotnie i fak ten uznano za wystarczający. Dziś wiemy, że miast zbliżyć do mowy wewnętrznej,

rzucano się w objęcia fantastyki okropności. Zdziwienie uznano za probierz prawdy. Czystą prawdę malarze nadrealistyczni wyobrażali jako twarz w spazmie przerażenia. Naturalnie jest w tym wiele słuszności: wiemy przecież z codziennego doświadczenia, że podobnie reagujemy na piękno jak i na brzydotę. I to i tamto znajduje się na tym samym planie niecodzienności (a nawet brzydota jest rzadsza).

Ale ktoś bardziej niż nadrealista winien się zdobyć na syntezę?

To wszystko, co w pisaniu zwykłym jest interpretacją języka praktycznego, rozkoszowaniem się dźwiękiem, poszukiwaniem uroku w aliteracjach i muzyczności—w pisaniu automatycznym nie istnieje. Istnieje to tylko, co zbliża do m o w y, nowa aliteracja—„aliteracja“ znaczeń.

Écriture automatique jest pisaniem syntetycznym. Jej szczęśliwe zastosowanie ma miejsce tylko wtedy, gdy zjawisko i jego wykładnik pojęciowy pokrywają się bez reszty.—Bo pisać automatycznie to widzieć w ciemnościach.

—Bo sztuką jest właśnie zapamiętywać „sny bezgwiazdne“.

ZBIGNIEW BIEŃKOWSKI

N A R O D Z I N Y

à M.

w ten dzień zrównania dnia i nocy
w krew moją weszłaś cicho i tajemnie
ukrytym nurtem głębią płyniesz we mnie
w krwi mej żeglujesz—jak brew płonąca na rubieżach mroku

jakżeż wspaniały ocean rodzisz—przed otchłanią oczu
jakiż patos Armouno wieczór zapala w twoim pięciopalcu?
w marmurowej ciszy leżąc—słyszysz szelest przesuwanych godzin
milczeniem krzyczysz naga na wznieśnięciu głosu
we włosów upale związana jak w łańcuch

czuję cię jesteś we mnie krątyśz gorejąca
przeniknęłaś mię—wypełniasz sobą tyły rozszerzone w bólu
we mnie się rodzisz w trzewiach szarpiesz i rozwalasz ciemność
gorąca i słona
wychodzisz mi z ust

JAN BRZĘKOWSKI

T U T A J

Tu czerwień płami tylko dłonie,
z warg wsiąka w kciuk papierosa —
Tu żyje to, co jest nakryte kadzidłem.

Są tacy, którzy im głębiej zakopują nogi,
tym bliżej mają do warstw białego domu —
tacy w kamieniach czarnych najlepiej ryją orbity dla ptaków,
tych ptaków,
które jak dłonie rozpostarte
lecieć będą z gwarem i wrzaskiem na twarze wabiące jak
świece —
tacy kopalnię codziennie przenoszą do piersi,
żyją liryzmem, który miastem potrząsa jak sierpem.

—tak by powstał świat, o którym warto pisać dumne wiersze!

—w takich łzach wybuchłyby wystrzały
bez śmierci.

IGNACY FIK

P O K U T A

JA Zapomniałem promienia włosów, zmierzchu słońca,
Jak opada na oczy... Płyną nieprzytomne
Palce, piersi, pieszczele. Podziemny obrońca
Bóstwo—znosi, bym zamilkł.

ON Gdy ja je przypomnę.
I będą straszyć zjawy, jak kwadry miesiąca.
Wyrok wydany!

JA A jeśli nikt prawa
Nie ma potęplać?

ON Goni cię niesława,
Jak gdybyś zwierza dosiadł, a za nim demony
W trop!

JA Z czeluści wracam, ledwo przebudzony,
W snach, niewinności młoda błyszczą rosa,
Gdy zagniewane krajesz zygzakiem niebios
I słyszysz jęki...

ON Bojowników dawnych.
Pokutniku spóźniony, gorszycielu jawny!
Nasłuchuj: nikt nie bieży ku twojej obronie,
Niepomuszczone, z łak jasnych wytrącone duchy

Wygrająjące zewsząd wyciągają dłonie,
Posłuchaj: łamią palce pod popiołem skruchy.

JA Czemu lotną stopą bosą
Nie potrafię się oprzeć gromiącym niebiosom
I przebiec śladem trawy, która się uchyla,
Jak światło mrokom, nocy—przedwieczorna chwila?

ON Już stanąłeś na ziemi, gdzie grzechy się karzą,
Na pomoście zbawienia, i struchlałą twarzą
Żebrzesz wytchnienia, jak kometa zbladła,
Która strzaskała kręgi i orbit zwierciadła
Z brzękiem. jak gdyby szare lodozwaly
Kto ugodził i prysnął promień—oniemiały.

JA Rozlewasz barwy lśniące, przestawiasz kulisy,
Kręcisz słowa jak śmigi i mącisz zarysy,
Nie wiem, o jakiej porze dopadasz mnie, grądzysz,
Ku jutrzniom siwiejącym, czy ku zmierzchom dątzysz:
Opadają ramiona.

ON Napływają ciała,
Jakby się wielka tama z poszumem zerwała:
Kto topielców ułoży na brzeg?

JA Niepamięci...

ON Miłowałeś.

JA A teraz wraz ze mną przekłęci!
Czyje wargi utulą i włosy przyglądzą,
Gdy tak leżą, znoszeni, odarci i nadzy,
Jak heroje rzucone psom, i rozwłóczeniu
W tumanach kurzu...

ON Zjawy w państwie cieni.
Nie wyzwoleni, bez krwi, na zawsze wygnani:
Nie kochałeś.

JA Selene, miłosierna pani,
Spod wapna wygrzebuje i kładzie przed oczy
Ranę przez skronie, wieniec, jak dawniej, uroczy,
W pocie skąpany, tyzny i gorzki.

ON Idź i nie grzesz więcej.

JA Zanlemówiły usta, odrąbano ręce.
Księżę świata w koronie na morzach ciemności
Płynię z pychą, łódź czarna, pełna wspaniałości.

STEFAN NAPIERSKI

**CZAS ODNOWIĆ PRENUMERATĘ „K A M E N Y“
ZA DRUGIE PÓLROCZE (2 ZŁ. 50 GR.)**

K O S M O S

Porozpraszać swe włosy, rozpylić imiona,
wydrzeć paznokcie z palców i wylamać stawy,
tępy nożem wygrzebać z pod siódmego żebra
kawał rdzawego serca jak piętno niesławy.

Wyrwać język i wypruć pulsujące żyły,
witriolejem wyparzyć pustej piersi worek --
stalową dźwignią ramion ująć śrubę głowy
i wykręcić z tułowia jak z butelki korek.

Niech się potoczy śmieszna ludzka głowa
i legnie w prochu ulic pod wozów turkotem.
Nic mi po niej... Odpadły ręk i nóg badyle
od tułowia zbędnego jak pamięć zgryzoty.

Wirujący peryskop wtroczyć w kable ramion
wzdłużonych poza linię ziemskiej elipsojdy —
i w płuc rozgrane miechy z przeraźliwym świstem
wetchnąć mrozów kosmicznych lazurów wody.

JAN NEPOMUCEN MILLER

O B I E T N I C A

Już przyszłością jesteś, jesteś prawie,
Smugą światła, oddechem przyszłości.
Cóż ci z dni, w których myśmy wyrosli
W lęku burzy, we krwi i niesławie?

Milczysz jeszcze, przesuwasz się obok
Tłumu, który wre, krzyczy i płonie,
Lekka, światłem rzeźbiona jak obłok
Sama jedna uchodzisz pogoni...

Twarz spod maski piękności niezdjętej
Dzis przesyłasz mi jak liść, jak brzask
W twarzy innej, lecz już wynajętej
Na tę chwilę rozpryskaną od gwiazd.

MIRCZYŚLAW JASTRUN

ROŻE NA ŚNIEGU

Piersi kobiece strome, czerwcowych warg łakome, białe jak
woń zaświata, krągłe jak serce brata.
Bujne jak górskie łąki w porannych mgieł bieleźnie, jak chwile
dwie rozłąki odmienne ale bliźnie.
Czy to na śnieżnej bieli zakwitły krwawe róże? Świat się na
beźświat dzieli, w niepamięć się zanurzę.
O, z niepamięci bezdna wyłowić uśmiech dziecka! Wokół za-
wieja gwiazdna i czasu sieć zdradziecka.
Wśnieć się przez złote schody w ten czas, gdy ze mną Ono
łączyło się w urody jedń pełną i skończoną!
I dotknąć warg złaczeniem ponad odwieczne kładki nadzmy-
słem, nadpragnieniem dziewiczych piersi Matki!

ADAM SZCZERBOWSKI

SKĄD LEPIEJ SŁYCHAĆ CIĘBIE

Pożywić się wielką ciszą
rosnącą na wyżynie,
wziąć w siebie moc jej szczodra
jak najwyższe dobro,
którego nie da niź.

Napełnić piersi i oczy
wonią i wizją ogromu
leżącego na barkach stu gór,
zanim się zejdzie do domu.

Ramiona wyciągnąć nawzajem
ku wiechom i konarom
drzew, co warują u szczytu
nad ciszy urodzajem
jak wierne psy.

I na psiej trawie klęknąć
i stopy Twoje całować,
Mieszkańca wiecznych mgieł,
żeś stopom pozwolił się wynieść
na górski odwieczny dziedziniec,
skąd się lepiej słyszy Twoje słowa.

STANISŁAW BĄKOWSKI

DO PRZYJACIELA

Nawet mi nie zaśpiewasz, czarodziejski błafnie,
W tanecznym twoim kroku balet duchów krąży.
Posłuchaj, jak odpływa nasza noc przyjaźni,
za którą wiatr poleci i Ty sam podążysz.

Nawet mi nie zaśpiewasz i mroku nie spłoszysz,
i nie dotkniesz strun wody ni źródeł, gdy biją.
Gdzie gasną polne lipy i szeleści popiół,
nieruchomy cień sosny obu nas omija.

Nie zawołasz! Nie wezwiesz! Próżno brzaskiem dzwonią
lipy, których cień kwitnie w sercu akwareli.
Spotkam Ciebie i raptem zamkną nam się dłonie,
zanim przyjdzie cień nocy i serca rozdzieli.

Znamy czas, który ginie pod gnuśną słodyczą
i wzywa tam, gdzie nigdy nie dzwonił śpiew nóg.
Wola mnie i odgania Twoich pór oblicze,
nim zaginie i zgaśnie w gąszczu dzikich dróg.

II

Na jakimkolwiek punkcie Francji spotkam Cię, Janie Arturze,
czy to będzie tyżna Tuluz, czy merostwo Dordogne,
zawsze Ci swoją miłość prosto i wiernie powtórzę
prosząc, gdy będziesz wciąż milczał, o Twoją milczącą dłoń.
I nawet gdy ptaki białe o słonych piórach z Cherbourg
nadlecą i krzykiem morskim zagłuszą naszą rozmowę,
spojrzymy razem na niebo, na ptaki, na blaski piór —
Będziem się zwierzać i myśli oddawać bez dźwięku słowa.
Les Lands spokojna i płynna patrząca oczami psa—
O, dobry Janie Arturze, handlarzu kością słoniową,
nikt Cię w tej Francji nie kocha tak bardzo, Janie, jak ja. —
O, popatrz: mewy z Cherbourg znów lecą nad Twoją głową.

III

Szeleści senny chór i święci
ródtką z ołowiu biją w ziemię.
Poeto—trumno zlej pamięci,
w której bolesnych gwiazd zmierzch drzemie.
Kamienna droga w dni nieznane
złą ewangelią Cię napawa —
modłami gdzie zduszony ranek
pachnie raz krwią, raz świętą trawą.

Płyniem w pokosach mokrych ziół
w odmęty błot zopiumowanych,
gdzie kruszą śmiechy skrzypem kół
zwierzęta na nas rozgniewane.
Spotkać Cię pragnę jeszcze tam,
gdzie słów swych różdżką ołowianą
smagasz po pyskach ludzki klan.

IV

O niepowziętej podróży kiedyś na szumnym wiosle
marzyłem niosąc okręty, prowadząc tratwy i łodzie.
A księżyc w burym obłoku—i gwiazdy biegły wyniosłe,
jedne w zenicie nocy i drugie głęboko w wodzie.
O niepowziętej podróży, za którą tęsknią święci,
i Maria, i Zofia, i Ewa—wszystkie radosne dziewczęta.
I burmistrz z miasteczka Chelma, starosta i wszyscy rejenci
marzą na jawie i we śnie o rejsie na wielkich okrętach.
A nawet w oczach Cecylii, która ma usta murzyńskie,
czai się żądza ucieczki, rośnie pragnienie nowości.
Więc po co czekać, gdy lądy rosną jak sny abisyńskie
i karawana wyrusza z ładunkiem słoniowej kości.

WACŁAW IWANIUK

L I N O S K O K

Wielkim przechodzę wahadłem po linie cienkiej jak struna—
Na dole zadarte głowy usta swe chylą do krzyku—
Oto zastygłem w bezruchu jak brąz na nieba pomnik—
Jeśli drgnę teraz, to runę — —

Prętą się mięśnie w oddechu, nóg splotem chwytam swą linę,
Cieszę mnie ukwiał kominów na oceanie krzywizny—
Ulice, wszędzie ulice jak białe bezmowne blizny
Skręcają się węzłem placu i w przestrzeń daleką płyną.

Lina wygina się, tańczy, opada morzem pod stopą—
Skrzydłami ramion podpieram ciało jak żaglem i płynę—
Przestrzeń wachlarzem rozwijam na czarnym bezkresie liny—
Ktoś krzyknął—lecz nie wiem kto to — —

Oto już meta opada jak błędny ptak z podobłoczy,
Serce się trudzi i bije na alarm jak wielki gong—
Niech milczy, niech milczy ciszą zdrętwiały w okrzyku krąg.
Aż cel mnie ziemią otoczy.

MIECZYSLAW LURCZYŃSKI

Świeża choć surowa włosna górską stopiła białe, zimne śniegi. Płynęły z lasów i stoków czyste strugi wody, przesycone żywicą i chłodem. Na szczytach tylko świeciły dalekie, mleczne płaty, otoczone lasami świerkowymi. W dolinach puşyły się już zielone łąki z żółtymi osadami kaczeńców i pierwiosnków, a pod gajkami rozlewały się całe pola przylaszczek jak błękitne wody, zdrowe i młodzietkie. Kwitło wilcze tyko i pachniało mocno jak bzy.

Po torze opuszonym młodzietką trawą sunął pociąg; w wąskiej dolinie, z rzeką na dole i jeszcze niżej z burym gościńcem. Chłodne, ostre powietrze wpadało w otwarte szeroko okna wagonów. Jerzy i Ksawera patrzyli na ciemny łańcuch gór, na wieczny śnieg oświecający szczyty, na mokrą wstęgę gościńca, wysoką falę szumiącej rzeki i zielone puchy traw na szkarpach toru, rozsypane tu jak miękkie, miłe motki jedwabne.

Na drutach telefonicznych siedziały ptaki przelotne i drżały kropie rosy. Słońce świeciło nisko.

Zapadnia Mała. Pociąg stoi minutę.

Małutka stacyjka z brunatnego, smolnego drzewa miała kamienny, biały peron, z którego były w górę cztery wiśnie japońskie jak szare fontanny. Wysiadło kilku podróżnych. Ksawera w białym swetrze i granatowej spódnicy, gładko prasowanej—Jerzy w płaszczu podróżnym barwy stali—reszta tutejsi chłopci i właściciele will letniskowych, hotelików i pensjonatów oraz turyści.

Młody chłopak stojący u wyjścia zaproponował swoje usługi. Poszli za nim do hoteliku „Pod cichym Jeleniem“.

Gospodyni przyjęła gości w salonie chłodnym i obszernym. W brązowym, ciężkim świeczniku raliła się samotna świeca jak gwiazda. Zielona komoda stała pod ścianą. Wazony z pokojowymi, wielkimi kwiatami spoczywały w błękitnych koszach wiklinowych. W salonie zapadał już zmierzch surowy i zimny a światło świecy wplecione w gęstniejący mrok mrugało przyjaźnie.

Ksawera klasnęła w ręce jak mała dziewczynka, po czym zarumieniła się i podszedłszy do gospodyni powiedziała cicho:

—Przepraszam panią.

Zdjęła wełnianą czapkę i poprawiała włosy przed lustrem. Pani Karloffowa, właścicielka pensjonatu „Pod cichym Jeleniem“, roześmiała się i podreptała do kuchni.

Zostali sami. Wielkie, szklane drzwi werandowe zachodziły matowymi blaskami; z boku naciekała w szkło niebieska

zorza wieczorna. Jerzy usiadł w głębokim, trzciniowym fotelu i zakrył twarz rękami.

Zmierzch padał coraz niżej i ciszej. W salonie było mroczno, tylko świeca płonęła w mroku jak wielka, jasna gwiazda wieczorna.

Ksawera myślała, że śni.

Ale wnet zastukały drobne kroki pani Karloffowej i letniskowy salon zmienił swój wyraz. Za gospodynią szła pokojówka i niosła gorącą herbatę z wiejskimi, kruchymi buleczkami. Postawiła posiłek na stole, przyjrzała się Ksawerze i Jerzemu baczny choć sennym wzrokiem.

Chłód wieczorny przenikał ściany wiejskiego hoteliku. Ksawera otuliła się szalem puszystym jak futro i piła gorącą herbatę. Świeca rzucała łagodne, żółte światło; półmrok pokoju był nasycony burawym powiewem.

— Czy państwo chcą jeden pokój razem — nagle przerwała milczenie gospodyni — czy osobno? Państwo są małżeństwem, prawda?

Jerzy drgnął i miał już zaprzeczyć, gdy jeszcze niespodzianiej Ksawera powiedziała spokojnym głosem, uśmiechając się lekko:

— Tak, prosimy o wspólny pokój. Jesteśmy jeszcze bardzo młodym małżeństwem.

Po czym zwróciła się, opanowując wzruszenie, do Framęgi:

— Pójdziemy, kochany, bo jesteśmy zmęczeni.

Wtedy pokojówka chwyciła świecę i walizki, lecz Jerzy odebrał jej stanowczym ruchem walizki i poszli za pokojówką na piękne piąterko, które miało tylko dwa pokoje; jeden z oknem na ogród, drugi obok.

Owionął ich zimny, czysty ruch powietrza płynący przez otwarte okno z ogrodu. Postawili rzeczy, pokojówka życząc dobrej nocy znikła i w pokoju małym jak zabawka dziecinna zostali sami. Pachniało wszędzie zimnem, czystością, mokrym ogrodem i świeżą bielizną.

Ksawera nagle zgasiła świecę i oplotła rękami mężczyznę, wydała cichy, spazmatyczny okrzyk, potem znowu i zamykając usta Jerzego gorącymi, mokrymi wargami, pociągnęła go za sobą.

— — — — —
Wstawał już pewnie świt, bo przez okno omuśnięte srebrną rosą jak przez pryzmat, załamywał się blady promień i lśnił miękko. Tęcza, grząska listwa nieśmiałego jeszcze światła okalała ramą szkło, zaróżowione lekko w środku. Z samego wnętrza bił promień długi jak włos kobiety i padał na pokój.

Zorza zakwitała mokrymi pierwiosnkami. Jakby pachniały złote kwiaty i bladło różowe, dziewicze światło pod ich upajającym zapachem.

Jerzy obudził się od przejmującego zimna, które dukało mu w prawe ramię obnażone zupełnie. Obok niego spoczywała uspiona kobieta. Oczy miała przymknięte delikatnie: długie, czarne i jedwabiste rzęsy zasunęły się miękko. Były lekkie jak oddech i ślicznie zwarte. Usta lekko nabrzmiąte pokrywała mokra, niewypowiedzianie czysta czerwień. W nieznacznie rozchylnych wargach białe zęby, lśniące i zdrowe. Policzki kobiety były jak muślin.

Włosy w nieładzie i bujne; szesane burzliwą nocą na piękne czoło, rozsypały się na poduszce i na ramionach, leżały gorącymi pierścieniami na kołdrze; ciepłe, miękkie zwiłki, pachnące jakąś mocną, nieznaną perfumą. A może tak pachniało sprężyście, młode ciało Ksawery uspionej na pierś kochanka a może świt wiosenny nieśmiało przenikający okno?

Ruch, jaki zrobił Jerzy, aby przykryć obnażone ramię przed zimnem górskiego poranka, obudził Ksawerę. Otworzyła oczy i jeszcze silniej przytuliła się do Jerzego. Jędrne jej ciało drży. Zamknęła oczy powtórnie.

Na krześle i na ziemi leżały porzucone suknie; słodki bezład.

Brzask wciskał się w szyby. Na ścianę padał mocny połysk i wapienna powłoka błyszcząca jak nowa. Światło szerzyło się coraz bardziej i prostokąt jasności rozciągał się coraz mocniej; świetlista, duża plama zaczęła się szerzyć na sufit i na podłogę.

Jerzy lekko odsunął gorące ręce Ksawery, ułożył senną i ciężką głowę kochanki na poduszce, pocałował ją w usta, potem w oczy i wysunął się z pod kołdry. Zimna podłoga przejęła go dreszczem. Włożył buty na przyboś, zarzucił płaszcz na ramiona i podszedł do okna.

Ogród leżał w bieli głęboko naścielonej.

Trzask ramy okiennej i Ksawera otworzyła oczy. Z otwartego okna rozciągał się śnieżny pejzaż po sinawe góry; jednolity obraz śniegu. Wszędzie leżał mokry, gruby, wiosenny śnieg, który padał przez noc. Dachy, drzewa, pola, sztachety ogrodu i ścieżki, krzewy i gałęzie, wszystko pokryte było grubą warstwą, szczelnie przylegającą.

Widok, cały z grubej, miękkiej bieli i tarzającego się switu!

W hotelowym ogródku na dole wśród zwisających liści śniegowych tłoczyły się delikatne jak pióra paputki kwiaty

złotokapu. W bieli śniegowej kwitł młody, wiosenny krzew —
złotokap i dźwigał naręcza śniegu, ciężkie i obfite.

(Fragment z powieści „K s a w e r a”).

MARIAN CZUCHNOWSKI

O POSZANOWANIE LUDZKIEJ GODNOŚCI

Marian Czuchnowski: Pieniądz, powieść, Wyd. „Sirinks”,
Kraków—Warszawa—Lwów, 1938.

Czuchnowski w swojej twórczości dotknięty jest urazem szablonofobii. Już od pierwszego tomu rzucił bite gościńce uznanych tematów i form. Ruszył na przelaj kompozycyjnych i stylistycznych obyczajów w poszukiwaniu twórczej świeżyzny. Te same ambicje widać i w „Pieniądzu”, ostatniej jego rzeczy. Ale i tu, gdzie cały wysiłek jest poświęcony, jakby się zdawało, sprawom czysto formalnym, uratował Czuchnowski to, co wielu pisarzy oddało skwapliwie bez wstydu i żalu za miskę niebiblijnej soczewicy. W bujnym gąszczu formalnego tworzywa ocalał najcenniejszy aromat czuchnowszczyzny, najbardziej pociągający jej powab—uspołecznienie. Uspołecznienie to nie ma żadnego munduru. Ani czerwonego, ani czarnego, ani brunatnego. Jest spod bardziej poważnego znaku niż trom-tadactwo gołowąsych bojówek i hałas agitacji. Należy go się doszukiwać w fakcie, że refleksje, jakie się nasuwają przy czytaniu „Pieniądza”, są to refleksje na temat moralności zbiorowego życia i współżycia. Powieść tę więc można uważać za napisany artystycznie traktat etyczny, który autor zaprawił we współczesnej kuchni mocno aktualnym smakiem. Przecież akcją „Pieniądza” są agitacje przedwyborcze do izb ustawodawczych na terenie powiatu maluńskiego. Głównym bohaterem bezgranicznie ofiarny dla własnego interesu trud kandydatów na poselskie pensje i diety. A tłem bezkształtna ideowo, bałamucona politycznie i rozbita masa otumanionych, ciemnych i gorliwie ze wszech stron jeszcze bardziej ociemnianych wyborców—chłopów. Są jednak i tacy, którzy nie dadzą się zastraszyć lub zaprowadzić na wyboistą służbę dla ideologii, lecz potrafią praktycznie i trzeźwo, bez zacietrizwienia i entuzjazmu zarobić. Przychodzą swoje głosy temu, kto więcej płaci. Nic więc dziwnego, że wygrały stronnictwa, które miały czym płacić. I nic dziwnego, że chłopci tajnie i powszechnie, bezpośrednio i równo, proporcjonalnie czyli stosunkowo i dokumentnie — przetrzęgli!”

Tu dotykamy rdzenia problemu. Jeśli Taine otrzymawszy kartkę wyborczą napisał wielotomowe dzieło o Francji, ale kartki wyborczej nie wypełnił, wiemy, że kierowało nim sumienie. Czymże jednak kierował się wójt Rępała, kiedy otrzymawszy twierdzącą odpowiedź na pytanie, czy jego kumowie popili i wzięli pieniądze, stwierdził:

— To dobrze, moiście wy.

A jakież kryteria jakiej etyki obywatelskiej kierowały panem dziedzicem Szawelskim, gdy dawał wójtom po 200 zł. na agitację twierdząc, że przeznacza rzekomo tę sumę na pomoc dla rolników mających wzorowe gospodarstwa.

O sprawach tych pisze Czuchnowski artystycznie. To znaczy bez upominania, bez rozpaczliwego załamania rąk, bez kaznodziejstwa i wróżb. Tworząc sytuacje nie podkreśla ich strony socjalnej. Za to z pasją wydobywa wszelkie walory wybitnie artystycznej natury. Z wszelkich plam pozaestetycznej tendencji oczyszcza powieść, pierze ją dokładnie pleniący się humor. Są sytuacje, w jakich nawet nieboszczyk Zagłoba się nie znajdował. Brak wątku erotycznego charakteryzuje książkę jako wyłącznie poświęconą życiu zbiorowemu. Okazuje się, że można pisać zajmująco i wartościowo bez wzdychań i rzewnych dialogów. U Czuchnowskiego jest to już druga powieść, „bezpłciowa” (jeśli pominiemy drobne wstawki), a bojowa jak i poprzednie. Jest to bojowanie o tylekroć aż do banalności opisane i obgadane poszanowanie ludzkiej godności, która jest poniewierana. Któs powie, że jest to walka zbyteczna, bo z powodzeniem ją wyręczą postanowienia i przepisy prawne porczynając od konstytucji a kończąc na okólnikach. Niezupełnie. Należy pamiętać jedną prawdę: gdzie się zwiększa objętość praw pisanych, tam maleje poczucie prawa.

A ileż to między paragrafem znaleźć się przejść, szczelin i dziur, przez które jeden człowiek do drugiego może się przedostać i sponiewierać go w sposób nie naruszający przepisów, bez żadnej przemocy, ucisku i gwałtu, tylko przy pomocy pieniędzy.

WIKTOR MATYSZCZUK

Stawiamy sprawę szczerze: egzystencja „Kamery” jest zagrożona. Pismo opiera swój byt jedynie na prenumeracie. *Ale apelujemy do naszych przyjaciół i sympatyków, by regularnie wplacali należność za pismo i jednali nam nowych prenumeratorów.* A do tych czytelników, którym dotychczas wysyłałimy egzemplarze bezpłatnie, zwracamy się z prośbą, by *poparli efektywnie nasze wydawnictwo i zaprenumerowali „Kamerę”.*

W KIERUNKU NOCY

Już późno
 w wietrze i w cieniu
 krzyk się unosi razem z nocą
 Nie czekam nikogo
 nikogo więcej
 nawet wspomnienia
 Dawno minęła godzina
 Lecz ten krzyk który wiatr niesie
 i pędzi przed sobą
 pochodzi z dalszych stron
 z wyższych przestrzeni
 niż sen
 Nie czekam nikogo
 i oto noc
 w koronie ogni
 oczy wszystkich zmarłych
 cichych
 wszystko co musiało zniknąć
 co przepadło
 trzeba jeszcze raz odszukać
 w przestrzeniach wyższych niż sen
 w kierunku nocy

PHILIPPE SOUPAULT (Etapas de l'enfer)
 Z francuskiego przełożył Julian Rogoziński

P O C A Ł U N E K

Kogut u drzwi świtu
 Kogut uderzając w dzwon
 Kruszy czas nocy na perełkach szybkości
 Iżut gałczy
 Pomiędzy dwiema nierównymi przejrzystościami
 Nie będzie można tak szybko unieść głowy
 Ku gromadzącemu się światłu
 Lecz pocałunek
 Na ustach zarłoczniejszych od mureny
 Na ustach ukrywających się pod powiekami
 Na ustach co skryją się wkrótce poza oczami
 Usta roznoszące nowe marzenia
 Usta najśodsze z pługów
 Zbyteczne konieczne
 Znają miejsce każdej rzeczy

W ciszy
 Naszyjnik zerwany zbuntowanymi słowami
 Inne usta na podściółkę
 Zatyłe z gorączkującymi trawami
 Wrocie zastawionym siłom
 Dzikie i dobre utworzone dla wszystkich
 i dla nikogo
 Usta zapominające mówić
 Usta oświetlone złudzeniami nocy
 Pierwszy krok na otwartej drodze
 Monotonnej jak dziecko
 Tysiąc orchidej w nieskończoności
 Błyszczący rozpalony żywy most
 Obraz echo odbłask wiecznych narodzin
 Uzyskać chociaż chwilę
 Aby już nigdy nie wątpić o trwaniu
 („La Rose Publique“)

PAUL ELUARD
 Z francuskiego przełożył Zbigniew Bieńkowski

WYSŁUŻONE OKRĘTY

Pod cypłem, w towarzystwie jaszczurek i słońca,
dwa okręty. Rozeschnięte. Stare,
Zanurzone sterami w grząskim bagnie.
Pierwszy bez masztu, bez ofebrowania,
drugi podparł się na słamanym wiośle
jak kaleka na szrudle.

W dzień błagają wiatr, fale
aby zamgłiły ołowiane zwierciadło pod nimi,
żeby choć przez chwilę nie widzieć obrazu żebraczego losu.
Nocą, okute ostrymi, rdzawymi gwiazdami
rozmyślają:
pierwszy o próżności życia, drugi o grozie
rozkładu.

(„Zlatni kljucz”)

BEZ CIEBIE

Bez ciebie jestem morzem bez wiatru,
żaglem bez lin, masztem bez żagli,
grobem bez krzyża i bez napisu.

Moje dłonie drążone błękitem zwirotczą,
moje oczy pijane głębią odlepają.

Przyjdź!
Bez ciebie jestem morzem bez wiatru,
radością bez okrzyku, życiem bez śmierci.
(„Lasto nad uvalom”)

OSTATNIA SERENADA

Dziś wieczór kasętye zdarł łuski z wszystkiego:
przebił skórę na ciebie, korę na drzewach,
skały wytoczył jak szkło,
wbil się w dno morza
i ryje.

Utonęły wyżyny!
Wyschły głębie!

Srebrne igły drżą i dzwonią w kościach,
strzały w oczach,
i wszystko przetapiają w ametyst fioletowy, giętki.

Niknie moje miasto, wyspy, światły
Cierpie tkwiące w kościach palców broczą gorączką
wszechstwarzań, wszechzniszczeń.

Skręćcie garść roztopionych strun z oteblani,
nawiążcie je na gitarę
(której wtór w zmierzchu odprowadził dziewczynę białą
jak żagiel)

abym odśpiewał ostatnią pieśń ziemi:
młodość.

(„Lasto nad uvalom”)

ANTE CETTINEO
Z chorwackiego spolszczył Antoni Brosz

KRONIKA SŁOWIAŃSKA

W Pradze uczczono pamięć zmarłego niedawno świętego pisarza Karola Czapka wielką uroczystością żałobną. W manifestacji wzięły udział tłumy publiczności.

W dniu 27 stycznia b. r. na słowackim uniwersytecie w Bratysławie odbył się wieczorek poświęcony twórczości Juliusza Słowackiego. Na program złożyły się odczyty Fr. Bunty i L. Ficher Colbric oraz recytacje szeregu utworów Słowackiego wykonane przez słuchaczy lektoratu języka polskiego Uniwersytetu Bratysławskiego.

Dwa największe słowackie dzienniki „Narodnie Noviny” i „Slovak” przystąpiły do drukowania na swych łamach prac polskiego uczonego, lektora jęz. polskiego na uniwersytecie w Bratysławie dr Wł. Bobka. „Narodnie Noviny” drukują „Dzieje literatury słowackiej w zarysie” a „Slovak” „Dzieje kultury słowackiej”. Przy okazji pisma te podkreślają dotychczasowe zasługi dra Bobka na polu współpracy kulturalnej polsko-słowackiej, jego poprzednie prace drukowane na łamach „Slovaka”, jak „Dzieje języka słowackiego” itd.

W roku bieżącym Chorwaci obchodzą uroczystie 350 rocznicę urodzin i 300 rocznicę śmierci poety narodowego Ivana Gundulicza, autora „Łzy syna marnotrawnego”, „Dubravki”, epopei „Osman” i inn. Gundulicz był epikiem, lirycznym i dramaturgiem. Utwory jego są przeniknięte głębokim duchem chrześcijańskim.

W marcu nastąpi w Kijowie uroczyste odsłonięcie pomnika Tarasa Szewczenki. Otwarta również będzie wystawa szewczenkowska.

Jubileuszowe wydanie dzieł Tołstoja, obliczone na 89 tomów, ukończone zostanie w Moskwie w pierwszym kwartale b. r. Po raz pierwszy zostanie ogłoszone około 12.000 listów autora „Wojny i pokoju” oraz 13 nieznanych dotąd szerzej jego dzienników.

Znany współczesny poeta sowiecki Nikołaj Asiejew pracuje obecnie nad wierszowaną powieścią o tragicznym zmarłym autorze „15000000” — p. t. „Majakowski naczinsjatsia” („Majakowski rozpoczyna się”).

W końcu marca r. b. ukaze się w Wilnie jubileuszowy (setny) numer białoruskiego czasopisma „Szlach Moładzi”. Młodzieżowe pismo to (wraz z dodatkiem akademickim „Szlach Białoruskaha Studenta”) poświęca wiele uwagi sprawom kulturalnym i literackim.

NOTY

DOROCZNĄ NAGRODĘ POLSKIEGO PEN-CLUBU za przekłady na język polski otrzymała ostatnio tłumaczka Aid. Huxley'a, Chesterton, Kat. Mansfield, Galsworthy'ego i innych pisarzy angielskich — Maria Godlewska. Jury podkreśliło konsekwentną, od dłuższego czasu prowadzoną pracę tłumaczkę nad spolszczeniem najwybitniejszych współczesnych autorów angielskich oraz nieskazitelną formę jej przekładów.

POZNAŃSKA „KULTURA” zamieszcza w Nr 9 artykuł Jerzego Młodziejewskiego charakteryzujący Piusa XI jako alpinistę. To „odkrycie” z życia ka. Rattiego dobrze znane ludziom mniej lub więcej z górami związanym (przypomniemy tu artykuł M. Świerza w roczniku V

„Wierchów” za r. 1927) dla wielu osób czeżących postać Wielkiego Papieża, a zwłaszcza dla rozmiłowanej w sporcie młodzieży, będzie prawdziwą rewelacją. A przecież przywiązanie Achilleasa Rattiego do gór i jego odważna, zdobywcza wobec nich postawa logicznie wiąże się z całym życiem Piłsudskiego z taką samą odważą i surowością przeciwstawiającego się ciemnym mocom różnokolorowych totalizmów, z jaką stawiał czoło niebezpieczeństwom górskim. Bo miłość piękna, prawdy i dobra—to miłość Boga.

KTÓRA Z NASZYCH FIRM WYDAWNICZYCH (może księgarnia Św. Wojciecha?) udostępni czytelnikowi polskiemu pisma alpinistyczne ks. Achilleasa Rattiego. Skoro jest przekład niemiecki i tłumaczenie francuskie, powinno jak najrychlej znaleźć się i polskie. Utwory te niezależnie od ich wartości rzeczowej odznaczają się artystyczną formą, a dla młodzieży naszej byłyby pobudką, opartą na najwyższym autorytecie, do oddania się temu najpiękniejszemu ze sportów.

DOBRE UCZYNIŁ Stanisław Helsztyński kreśląc w № 2 „Kultury” postać świetnego pisarza angielskiego Louisa Stevensona. Właściwie znajomość tego klasyka literatury angielskiej w Polsce do dziś jeszcze jest bardzo mała, mimo iż już Stanisław Brzozowski odzywał się o nim z uznaniem. W Rosji jeszcze przed wojną w r. 1914 ukazało się zbiorowe wydanie powieści i nowel Stevensona. Warto by poza przyswojonymi już naszemu językowi „Dr Jekyll’em i mr. Hyde’em”, „Wyspą Skarbową” i „Porwanym za młodo” przełożyć pełne wdzięku opowieści polinezyjskie i wszystkie nowele z cyklu „Nowe arabskie noce” oraz powieści „Dwaj bracia” i „Katrionę”.

SPOSÓB, W JAKI WIELOPOLSKA walczy w swym pamflecie z Hłakowiczówną, świadczy wymownie o poziomie kulturalnym pani hrabiny. I choćby zarzuty wysuwane przeciw waruszającej „Ścieżce obok drogi” były częściowo słuszne, w zupełności podzielimy opinię „Myśli Polskiej” (Nr 4), że książka Hłakowiczówny „pozostanie pięknym wkładem do literatury polskiej”, „Kazia” pozostanie murowaną pozycją w historii literatury, a o broszurze p. Wielopolskiej po dwóch tygodniach ludziska zapomną. Denuncjacja Pietrkiewiczza („oenerowiec”), pominiawszy jej brzydotę, wydaje nam się nieporozumieniem, boć przecież p. Wielopolską, współpracowniczkę „Merkurysza Polskiego, z Pietrkiewiczem, współpracownikiem „Prosto z mostu”,—więcej łączy, niż dzieli.

LOGIKA. Stanisław Czernik honorował w dawniejszej „Okolicy Poetów” Tuwima, dał mu (w № 3) miejsce przed innymi poetami, zaprosił do jury konkursowego, chętnie drukował Jastruna, Napierskiego, Hertza, Kotta, Słobodnika M. Brauna, Leca, Wita, Splewaka, Weintrauba Łazowertównę, Rzeczyrę i in., respektował wypowiedzi w ankiecie Pełpera, ba, Wygodzkiemu firmował (Biblioteka Okolicy Poetów) zbiorek „Żywioł Hłacia”. I jakoś nie obawiał się „mistyki narodowej” tych poetów, ofiarowując im wspaniałomyślne „Indygenat polski” nie czekając, aż to uczyni „Instancja późniejsza w ostatecznym rozrachunku przyszłości”. Tymczasem w № 40-41 „Okolicy Poetów” za r. 1939, poświęconym „Dwudziestu latom poezji polskiej”, Czernik założył dla tych poetów „kondominium”, umieszczając w nim zarówno Leśmiana, o którym nie tak dawno redaktor „Okolicy” pisał, że jego utwory „z pewnością poecie stałych i wiernych czytelników na zawsze” (Nr 23), jak i Tuwima, o którym śliczną „Piosenkę” napisała Hłakowiczówna, (druk. w Nr 31), nie mówiąc o wszystkich innych. Pardon, nie wszystkich, bo oto niektórzy niedawni współpracownicy „Okolicy Poetów” (np. Kott, Lec, Wit, Szereszewska, Splewak, Weintraub) nie liczą się już w ogóle, skoro nazwisk ich nie znajdujemy w indeksie alfabetycznym poetów. Widocznie należą do tych, których „twórczość w języku polskim posiada charakter zastępczy”. Ależ czemuż w takim razie czytaliśmy ich wiersze w „Okolicy Poetów”? Coś tu z logiką nie bardzo, ale ktoś w dzisiejszych czasach szuka logiki. Tak czy inaczej, nie na próżno „Okolica Poetów” ogłasza się w „Prosto z Mostu”.

— kaj —

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

P. Z. POR. w LUBLINIE. Surowe jeszcze. Wiersze świadczą o pewnych możliwościach poetyckich. Stosunkowo najlepszy „Poranek”. Przyszłość w pracy.

P. M. JEŻ. w LUBLINIE. Na razie nie dla nas. Obrazowanie wierszy przedwojenne, młodopolskie. Radzimy czytać poetów współczesnych.

B. LOK w WARSZAWIE. Trudno na podstawie krótkiego wiersza wyrazić opinię, o którą Pan prosi. Utwór raczej słaby, choć nie pozbawiony pewnego wdzięku. W każdym razie do pisma literackiego się nie nadaje.

P. J. W. w ZDUŃSKIEJ WOLI. Dziękujemy serdecznie za życzliwość. „Wiersz dla kochanej dziewczyny” zatrzymujemy w tece.

ILUZJON. Wiersze lepsze od poprzednich. Zatrzymujemy „List”, w którym chcielibyśmy poprawić rytm pierwszego wiersza ostatniej zwrotki (... „z szyb świt”). Prosimy o cierpliwość, gdyż nie obiecujemy rychłego zamieszczenia utworu.

Kto pragnie z pismem wejść w kontakt, powinien je przede wszystkim zaprenumerować!

KSIĄŻKI NADESLANE DO REDAKCJI

Franciszek Surówka Brzegowski: *Legenda fraszobliwa*, Warszawa, Hościńsk 1939.

Ignacy Fik: *Rodowód społeczny literatury polskiej*, Kraków, Spółdz. Wyd. „Czytelnik” 1938.

Ignacy Fik: *Dwadzieścia lat literatury polskiej (1918—1938)*, Kraków, Spółdz. Wyd. „Czytelnik” 1939.

Stefan Flukowski: *Odys u Feaków*, Warszawa Biblioteka Ateneum 1939.

Radio w Polsce w latach 1935—1938, Warszawa 1938.

Gdyby każdy dotychczasowy prenumerator

„KAMENY“

zdozył pismu tylko jednego

ABONENTA

a zdawałoby się, cóż łatwiejszego! —

dalsza egzystencja

miesięcznika

b y ł a b y

z a p e w n i o n a .

